Nr. 5. Kraków, Maj 1916. Rok X.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i Administracya:
**Kraków,
ul.
Franciszkańska
L. 3.**

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy



TREŚĆ NUMERU V-go:

Zmartwychwstanie ciała, a wojna.

Zobaczyli go.

Zaklekotały karabiny i grad kul z ostrym poświstem posypał się ku niemu...

Nagle się zachwiał. Pod piersią poczuł jakieś ciepło. Sięgnął ręką w zanadrze, ku miejscu, gdzie ono ciepło poczuł... Krew! Krew ciurkiem z piersi mu ciecze...

Teraz dopiero ból odczuł i jakaś niemoc tak nim naraz owładła, że się zatoczył i runął na ziemię... Zamroczyło go zupełnie.

Biedny Franek! Od początku wojny był w polu. Dalekie światy przeszedł, w tylu był ogniach, a zawsze szczęśliwie kule go mijały. Już i wierzyć począł w swoje dobre przeznaczenie i na wraży ogień nie zważał. Na ochotnika zawsze był pierwszy. I teraz na ochotnika nieprzyjaciela podpatrywać poszedł...

I nie minęła go kula, co mu przeznaczona była. Przyszedł nań koniec.

Leży oto pod sosną na skraju lasu, krwią tak broczy, że aż się piach od niej czerwieni. Twarz mu blednie, usta sinieją — jeno oczy jeszcze dziwnie się jakoś świecą... Snać bardzo nad czemś myślą się biedzi, bo te oczy w niezmierzoną dal jakąś patrzą i coraz bardziej się jarzą.

O! Ma się nad czem biedzić! W domu zostawił żonę, dzieciątek dwoje i matkę sta-

reńką, a on oto zdala od wszystkich, w leśnem pustkowiu umiera...

A przecież on ich wszystkich tak strasznie kochał. Toć, gdy się ożenił, to dla nikogo, jeno dla nich kochanych żył na świecie. Dla nich ten poletek karczom leśnym wydarł, dla nich te zagony potem swoim użyźnił, dla nich tę chateńkę w trudzie i znoju budował. Przyginał grzbietu do ziemi, krwawił ręce na toporzysku, a w pracy nie ustawał, bo się nacieszyć chciał życiem przy żonie i dzieciach i matce stareńce...

A oto umiera! Umiera daleko od nich kochanych. Żywicielem był im przecie, co one biedoty poczną bez niego?...

Jęknął boleśnie, a przez zaciśnięte zęby szeptać począł: „Boże, Boże, Boże!“... Lecz wnet ucichł! Przymknął oczy, a z pod powiek po wybladłem licu łzy się potoczyły.

I znowu szepnął: „Boże!“ — ale inaczej jakoś.

Przed chwilą chciał bluźnić Bogu; opamiętał się jednak i teraz oto szepce: „Bądź wola Twoja, sprawiedliwy Boże!“

Na Sprawiedliwość Bożą wspomniał i oto mu ulżyło.

Bo tak sobie myślał:

„Przecieć za ten pot wylany, za tę krwawicę i wysiłek ostatniej żyły w uczciwej pracy karmą plugawemu robactwu i prochem ziemi na wieki się nie stanę. Przecieć te oczy, com niemi tak miłościwie na swoich patrzał, na wieki mi nie zgasną, ani to serce, co mi dla nich jeno biło, na zawsze nie ucichnie. Ja ich jeszcze temi oczyma zobaczę i temi rękoma, co w pracy dla nich tak stwardły, przygarnę, bo Bóg jest sprawiedliwy! Przyjdzie czas, że zmartwychwstanę i one, sieroty moje zmartwychwstaną! A wtedy nie będzie już śmierci, co nas rozłącza, będziemy wiecznie razem“...

Ulżyły mu te myśli i łzy z oczu wycisły. Umierał biedny żołnierz w spokoju. Wiara w zmartwychwstanie ciała krzepiła go tej ostatniej chwili.

O tak! Zmartwychwstanie każdy w dzień ostateczny, bo Bóg jest sprawiedliwy, który za dobre nagradza, a za złe karze.

A Sprawiedliwości Bożej nie dośćby było karać i nagradzać same dusze tylko. Wszak człowiek i duszą i ciałem żyje. Ciało, które w służbie Bożej na tym padole łez przez długie lata się tyle mozoli i cierpi i umartwia, nie może się stać pastwą robactwa; sprawiedliwość żąda dlań nagrody. I nagrodzi je Bóg w dniu zmartwychwstania...

A to ciało znowu, które swą zwierzęcą zmysłowością więziło duszę i włóczyło ją po bagnach rozpusty i po rynsztokach pijaństwa, poniewierało ten obraz i podobieństwo Boga w człowieku, lub bryzgało na tę duszę krwią niewinnego, w zbrodni przelaną, ponieść musi karę. Jemu nie starczy jeno w proch się obrócić. Sprawiedliwość słusznej kary na nie się domaga. Musi przeto zmartwychwstać, by tę karę podjąć.

Zmartwychwstanie wszelkie ciało ludzkie po wieczną nagrodę lub wieczną karę, bo Bóg jest sprawiedliwy!

Dzień modlitw za Ojca św. Benedykta XV.

Z łaski Namiestnika Chrystusowego świat katolicki modlił się niedawno i składał ofiary w intencyi naszego narodu. Słuszna, żeby cała Polska miłością odwzajemniła się za tę miłość i urządziła u siebie powszechne modlitwy za ukochanego Papieża. Za taki dzień modlitw episkopat obrał święto Najśw. Panny, Królowej Korony Polskiej, przypadające na pierwszą niedzielę maja.

Piękne uzasadnienie tych modlitw za Benedykta mieści się w odezwie biskupów Królestwa Polskiego do wiernych. Opiewa ona:

„Po całej ziemi Polskiej rozchodzi się głos narzekania, płaczu i żałości: trapi nędza, morzy głód, męczą choroby, dziesiątkuje śmierć; na dworze miecz zabija, a doma śmierć takaż jest.

Ludu polski, wzdychający i szukający chleba, wszystek płacząc płaczesz, a łzy twoje na czeluściach twoich, bo zaiste czyliż jest boleść, jako boleść twoja!

I któż pierwszy pomyślał o tobie w twem nieszczęściu? kto pierwszy użalił się twej boleści? kto pierwszy przemówił do ciebie? Ojciec chrześcijaństwa, Ojciec twój Święty, Papież, Benedykt XV., Przyjaciel narodu polskiego.

Sam to bowiem był wyznał do Biskupów polskich w Galicyi, że od dawna w szczególny sposób upodobał ciebie, Ludu polski, słysząc o twej miłości i wierze, którą masz ku Panu Jezusowi i Stolicy Apostolskiej. W miarę zaś coraz większych i cięższych klęsk i ciosów, które na nas spadają, rosła też w sercu Jego miłość dla ciebie i użalenie.

Ulitował się tedy nad tobą i nad nieszczęściem twojem, jako lituje się ojciec nad synami swymi.

Ten Ojciec, płaczący synów swoich, modli się nieustannie do Boga o pomoc dla Polski całej, i pierwszy przysłał hojny dla ciebie datek, bolejąc nad tem, że dać nie może tyle, ileby pragnęło Jego szczodrobliwe serce.

I niedość Mu, było tego, wszystkie narody katolickie wezwał, aby się za nas modliły i w nędzy nas wspomagały.

I uważ, Ludu katolicki, na wezwanie swego Ojca cały Kościół: biskupi, kapłani, wierni wszelkich plemion i języków, ale jednej wiary, święcili uroczyście dzień Polski i po świątyniach na ziemi całej za naszą nieszczęśliwą Ojczyznę się modlono i dla biednej a głodnej

Polski obfity grosz składano, jako bracia braciom.

Widzisz więc, że nie jesteś sierotą, ani opuszczonym, ani zapomnianym na szerokim świecie, w ubóstwie twojem, w nieszczęściu twojem wspomniał o tobie Ojciec i bracia twoi. Należysz bowiem do wielkiej i chwalebnej rodziny katolickiej, posiadasz miłościwego, a wielce litościwego Ojca.

W wierze tedy twojej jest i siła twoja i przyszłość twoja.

I cóż oddasz Ojcu Świętemu za wszystko, co ci dobrze uczynił.

Oddaj Mu serce za serce, a modlitwę za modlitwę, daj Mu, czem sam bogaty jesteś, daj swą szczerą, gorącą miłość, swą polską, wierzącą duszę.

W dniu tedy przez Biskupów obranym niech Polska cała modli się za swego Papieża, jako za sprawą tegoż Papieża świat katolicki modlił się za Polskę całą. W dniu tym uroczystym, a drogim sercu naszemu, ludu kochany, zapełnij świątynie i za umiłowanego Papieża, Przyjaciela Polaków, wznieś gorące modły do Jezusa, do Maryi, Królowej Polskiej, przystąp licznie do Stołu Pańskiego i na intencyę Papieża ofiaruj swoje Komunie święte.

A gdy wam rzekną synowie wasi: cóż to za nabożeństwo? powiecie im: Ojca mamy na ziemi i za Ojca modli się dziś cały spłakany naród polski, śluby oddajemy Panu przed oczyma wszystkich ludów, a imienia Pańskiego wzywamy.

Niech wam tedy Bóg da serce, abyście Go chwalili, a wolę Jego czynili, niech wysłucha modlitwy nasze, a niech was w łaskę przyjmie, ani was niech nie opuszcza czasu swego".

Dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia i wojna.

„Podróżnych w dom przyjąć".

Już od VI. wieku rozkrzewił się w chrześcijańskim świecie pobożny zwyczaj, że na zamkach książąt i w pałacach wielmoży urządzano osobne pomieszczenia dla pielgrzymów i ubogich podróżnych. Ilekroć ktoś bezdomny zakołatał w podwoje dworzyszcza i o przytułek prosił, otwierano mu gościnne komnaty, a same panie domu, księżne i królowe nawet, troskliwie podejmowały przybyłych i raczyły, czem mogły. Gościnność uważano wszędzie za święty obowiązek. Najmniejsze uchybienie w tym względzie poczytywano za hańbę i przeniewierstwo chrześcijańskiej powinności.

I nic dziw! Ten objaw ludzkości znany i przestrzegany od najdawniejszych czasów u wszystkich narodów ziemi, uważać trzeba za obowiązek każdego człowieka, a tem więcej chrześcijanina. Stądto Kościół św. od wieków każe: „Podróżnych w dom przyjąć!"

Cnotę gościnności zaleca Pismo św. już w Starym Zakonie i wychwala mężów, dających przytułek bezdomnym. I tak sławi Abrahama za to, iż w dolinie Mambre postawił namiot obok drogi, gdzie podejmował podróżnych z taką serdecznością, iż sam im nogi umywał. — Za chlubę poczytują księgi święte Lotowi to, iż siadał u bram miasta Sodomy i obcych przychodniów do siebie w gościnę zapraszał. — Jetro za to został teściem wielkiego patryarchy Mojżesza, iż go bezdomnego w domu swoim przyjął. — Słynnym z gościnności dla podróżnych był też Job pobożny. — Wielką pochwałę zapisały księgi święte Raguelowi i Annie za to, że z wielką pieczołowitością podejmowali u siebie nieznanego im jeszcze Tobiasza...

Chrystus Pan wielce wysoko cenił cnotę gościnności. Bardzo miłym dla Niego był dom Łazarza w Betanii, bo Go, strudzonego, zawsze gościnnie tam przyjmowano. A kiedy po zmartwychwstaniu, zaprosili Go na wieczerzę i nocleg do Emaus Jego dwaj właśni uczniowie, Łukasz i Kleofas, którzy Go byli nie poznali, tę ich gościnność tem im nagrodził, że w ich domu „chleb łamał", czyli Najświętszą Ofiarę sprawował.

* * *

Dziwią się nieraz obcy przybysze, że u nas w Polsce tak mało jest gospód i zajazdów. Gdzieindziej w lada wsi jest ich kilka. U nas jedynie po miastach znaleźć je można. I nie dziw! U nas w Polsce gospód nie trzeba było. Podróżujący szlachcic zajeżdżał do najbliższego dworu, a chłop do kmiecia i wszędzie przyjmowano ich z otwartemi rękoma. Utarło się nawet przysłowie, że od Gdańska, aż do Kijowa można przejechać „rzemiennym dyszlem". Wszędzie bowiem można było dostatnio popaść. Podejmowano równie gościnnie i swoich i obcych, nawet nieprzyjaciół.

Sławnem jest zdarzenie z czasów najazdu szwedzkiego. Karol XII., król szwedzki, kiedy Kurpie większą część wojska w puszczy Muszyńskiej wystrzelali, ledwie sam uszedł z życiem i z jednym jeno żołnierzem przedzierał się przez leśne gęstwiny. Po drodze napotkali dwór. Strudzony bojem i zmęczony drogą król skierował się bez namysłu ku domowi. Naprzeciw niego wyszedł gospodarz, a był nim podkanclerzy Szczuka, którego synowie dowodzili oddziałami Kurpi w puszczy... Wróg szedł sam w ręce!

Pan Szczuka, poznawszy króla, bo go w Warszawie często dawniej widywał, nakarmił go, napoił, przenocował, a nazajutrz ścieżką oddziałom wojsk szwedzkich przeprowadził.

Tak nakazywało czynić w Polsce święte prawo gościnności.

* * *

Przyszła wojna, Cała Polska zgorzała. Krocie tysięcy ludzi zostały bez dachu nad głową. Je-

dni w jamach ziemnych się pokryli, innych na tułaczkę w dalekie światy pognano. I różne zewsząd od tych tułaczy przychodzą wieści. Różne ludy różnie ich przyjmują. Najlepiej zaś to te, co zawsze wierne św. Kościołowi nie przepomniały chrześcijańskiego przykazania: „Podróżnych w dom przyjąć“.

Dzieje uchodźtwa polskiego zapisały jednak kilka obcych imion we wdzięczności narodu. Zbierze je kiedyś skrzętna ręka historyka i przekaże przyszłym pokoleniom.

Ku własnej narodowej chwale rzec jednak śmiele możemy, iż dawna cnota gościnności w nas, Polakach, nie ustała. Świadczą o tem obcy. Wiele sposobności nadarzały po temu ciągłe przemarsze wojsk przez polskie ziemie. Przed strudzonym żołnierzem, kołatającym do dworu, probostwa, klasztoru, domku mieszczanina, czy chaty wieśniaka, drzwi się zawsze otwarły i ciepły kąt na nocleg, ceber gorącej wody na umycie, a nawet i posiłek zawsze się znalazł. Czyta się o tem w żołnierskich listach Niemców, Węgrów, a nawet Moskali. Snać żywo trwa w narodzie pamięć przykazania: „Podróżnych w dom przyjąć“.

* * *

Prawo miłości bliźniego sięga zawsze najpierw najbliższych. Tak też i owo przykazanie stosować nam dzisiaj trzeba. Najbiedniejszemi pośród bezdomnych są zawsze sieroty. Te więc najprzód trzeba „w dom przyjąć“. Zrozumiał to prawy chłop polski. Oto niedawno pisano w dziennikach, że w tarnowskiem setki chłopów ofiarowało u siebie w chacie miejsce dla bezdomnych sierót. Oni zrozumieli świętą sprawę polską. Chcą te sieroty wychować dla Boga i Ojczyzny. Cześć im! Ich przykład tysiące pewnie pociągnie.

Służą świętej sprawie równie ci, którzy nie skąpią datków na ochronki, przytułki i domy wychowawcze dla osierociałej dziatwy. Wszak to przyszłość nasza!

Oddział „Opieki nad dziećmi“ przy Książęco-Biskupim Komitecie (K. B. K.) w Krakowie uratował dotąd przeszło 300 sierót, umieszczając je po różnych ochronkach w Kochanowie, Krzeszowicach, Prądniku, Zakopanem, Nowym Targu i t. p. A wszystko to dzieje się ofiarnością tych, którzy rozumieją doniosłość przykazania: „Podróżnych w dom przyjąć“.

---

400 rocznica znalezienia obrazu Matki Boskiej Gidelskiej.

Było to z początkiem maja 1516 r. Jednego dnia, jak opowiadają, pewien pobożny gospodarz w Gidlach zamieszkały, imieniem Jan Czeczek, wyjechał, jak zwykle na orkę z parą swoich wołków. Nagle wśród pracy bydlątka zatrzymały się i uklękły nie chcąc mimo zwykłych nawoływań pana swego ruszyć się z miejsca. Zdumiony oracz w tejże chwili ujrzał na ziemi dziwnym okrytą blaskiem czterocalową figurkę Niepokalanej Bogarodzicy, którą właśnie nieme owe bydlęta uczciły. Była ona w kamieniu rzeźbiona. Jan Czeczek podniósł ją z uszanowaniem i zamiast odnieść ją do kościoła, przyniósł ją do domu, pokazał ją tylko swej żonie i do skrzyni schował dobrze szatami okrywając Najśw. Dziewicy Posążek. Do skrzyni owej często zaglądał i dziwił się niemało, gdy spostrzegł, że figurka Maryi zawsze na wierzchu się znajduje choć ją za każdym razem umieszczał na spodzie.

Niebawem dopuścił Bóg na Jana i całą jego rodzinę zupełną ślepotę; sąsiedzi litując się nad nimi, najęli mu do posług niewiastę, która zaglądając razu pewnego z potrzeby do owej skrzyni Jana Czeczka, spostrzegła w niej jaśniejący posążek Niepokalanej Dziewicy, a dowiedziawszy się od gospodarza o cudownem wyoraniu go, doniosła o tem miejscowemu proboszczowi X. Piotrowi Wołpkajowi. Ten udał się procesyonalnie do domu Czeczka, zabrał obraz cudowny i w kościele w szafie zamknąwszy umieścił. W chwili przenoszenia statuetki Bogarodzicy Dziewicy Jan Czeczek wraz z całą rodziną na oczy przejrzał. Na drugi dzień rano doniesiono księdzu Proboszczowi gidelskiemu, że na roli Czeczka otoczony jasnością znajduje się ten sam obraz choć szczelnie był w kościele zamknięty. Proboszcz natychmiast poszedł zajrzeć do szafki i istotnie obrazu w niej nie znalazł. Poszedł tedy na rolę i znów zabrał św. Wizerunek, ale gdy i powtórnie to samo się zdarzyło zrozumiał, iż wola Boża jest, aby na tamtem miejscu Matka Boża Najczystsza cześć odbierała i wystawić kazał tam drewniany krzyż z wydrążeniem na maleńką ową statuetkę. Tam to zbiegał się lud okoliczny i szlachta polska czcić Maryę, za co Ona darzyła hojnie ich łaskami cudownemi.

W tym stanie pozostawała Statuetka Najśw. Dziewicy lat kilkanaście, a sława dziejących się tam cudów obiegła rychło całą polską ziemię. W kilkanaście lat potem Marcin Gidzielski, właściciel Gidel, wywdzięczając się Maryi za oczywisty cud nad sobą wystawił drewnianą kaplicę, w której od czasu do czasu nabożeństwo się odprawiało. Ale i ta się do upadku nachyliła, co widząc pobożna Anna z Rusocic Dąbrowska, na onczas dziedziczka Gidel wystawiła murowany kościółek i ufundowała w 1615 r. — w sto lat od znalezienia cudownego obrazu Maryi — klasztor OO. Dominikanów, których sprowadziła z Krakowa. Za przybyciem dopiero tych białych Ojców podniosła się prawdziwie cześć Niepokalanej Dziewicy, a zatem wzrosły i cuda i łaski się pomnożyły tak, że „nikt z Gidel niepocieszony nie odszedł“. WW. OO. Dominikanie wszystkie te łaski porządnie zaczęli spisywać i już w roku po swem w Gidlach osiedleniu komisyę duchowną sprowadzili, aby zba-

dała prawdziwość cudów na tem miejscu zaszłych, które też istotnie władza duchowna zatwierdziła 1616, a ponownie przeprowadzony przez biskupa Macieja Łubieńskiego tenże sam Arcypasterz 30. października 1651 zatwierdził ostatecznie.

Z licznych łask w Gidlach doznanych godzi się wspomnieć o kilkunastu umarłych do życia cudownie przed Obrazem Maryi przywróconych, nie mało ślepych tutaj wzrok odzyskało i bardzo wielu z nieuleczalnych chorób w Gidlach sobie zdrowie uprosili. Zresztą tak dużo zaszło tam cudów, że to miejsce święte do Najcudowniejszych zaliczyć można.

Gidle znane są tak, jak Jasna Góra. Ktokolwiek z Krakowa czy ze Szląska czy z Galicyi dąży do Częstochowy z wielką swoją pociechą do Gidel wstępuje. W pierwszą niedzielę maja bieżącego roku przypada właśnie 400-letnia rocznica znalezienia cudownego obrazu Maryi, 300-letnia od wprowadzenia OO. Dominikanów do Gidel dla posługi przy cudownym obrazie, którą tak chlubnie i pobożnie trzy wieki spełniali; 700 lat od założenia całego zakonu Dominikańskiego a 950 od wprowadzenia do Polski Chrześcijaństwa! Te cztery jubileusze miały być połączone z koronacyą Matki Boskiej Gidelskiej, o którą się w Rzymie starał ostatni Dominikanin O. Gabryel Świtalski, tak wśród pielgrzymów do Gidel i Częstochowy popularny. Dziś on już nie żyje, umarł w tym roku w styczniu. Czasy wojenne nie pozwolą na wielkie uroczystości jubileuszowe, które do spokojnych czasów odłożyć wypada. Mimo to w p i e r w s z ą n i e d z i e l ę m a j a 1916 roku każde polskie serce może i powinno wyrwać się na chwilę do Gidelskiej świątyni, by podziękować Matce Bożej, że na Polskiej zjawić się raczyła roli i poprosić Ją, aby tej roli błogosławiła, by mieszkańcy tej starej ziemi Piastowskiej nie pomarli z głodu i zarazy i od miecza i od kul nieprzyjacielskich nie zginęli.

J. H. N.

Nasze sieroty.

»Kto jedno z dziateczek przyjmie w imię moje, mnie przyjmuje«. *Św. Marek. 9, 36*

Odezwa do naszych rodzin i duchowieństwa.

Karygodną byłoby nieopatrznością, żyć tylko chwilą dzisiejszą, bez myśli serdecznej o tem, co będzie jutro. Rozum i serce szlachetne wytężają wzrok przed siebie. Towarzyszy im stale świadomość, że kres osobistego istnienia naszego nie jest kresem istnienia wogóle; że na naszych grobach każda nowa wiosna rozkrzewi nowe kwiaty, a w naszych domach nowe pokolenia snuć będą dalej przędzę żywota, choć nas już nie stanie.

Nowe pokolenia! Szczególną o nie troską przejęty jest Kościół nasz święty, ta Macierz wiekuista, z czułością i pieczołowitością nieustanną wiodąca dusze przez życie ziemskie ku przyobiecanej przystani. Już od najwcześniejszych dni ich dziecięctwa pragnie Kościół przygarniać do swego łona ludzkie zastępy, poświęcając usilność całą kształceniu wątłych serduszek dziatwy, skłanianiu ich ku Bogu. Wie bowiem ta nietylko dobra, lecz także najmądrzejsza Matka, ile wpływu na całe późniejsze życie człowieka ma właśnie ów jego poranek; wie, że pragnąc Chrystusowi zapewnić jak najobfitsze żniwo, należy zasiewu wtedy strzedz najpilniej, gdy on runieje, wtedy od szkodliwych wpływów chronić go, krzepić i posilać.

Ojczyzna, która jest córą Kościoła i to córą serdecznie umiłowaną, niemniej przywiązuje wagi do należytej opieki nad dziatwą. I jak mogłoby być inaczej? Wycierpiała nasza Ojczyzna wiele i jeszcze cierpi. Znamy wszyscy dobrze pasmo męczarni, które osnuło jej dolę, odkąd postradała wolność. Obecnie zaś, kiedy straszliwa pożoga wojenna ogarnęła świat cały, w ślad zaś za tem rozpełzały na okół zarazy i głód zaziera z za węgła, — jej wypadło najsilniej odczuć wszystkie te okropieństwa. Jej żyzne pola nie pługiem zorane, jeno granatami, jej sioła w perzynie, mnóstwo grodów kupą gruzu, a jej synowie przelali krwi co niemiara i w dalszym ciągu przelewają.

Cóż dziwnego, że wijąc się w bolach, krwią ociekając, ze wszystkiego odarta, woła do nas: Ratujcie dziatki moje! Ratujcie, bo w nich cała moja nadzieja!

Zapewne, Bóg łaskaw pozwoli, że wielu, może przeważna liczba tych, którzy poszli na wojnę, powróci do domowych pieleszy.

Lecz ilu w tem będzie ludzi złamanych, ile kalek — aż lęk zbiera pomyśleć. Ci zaś, co przy pomocy niebios wyjdą cało z okropnych zapasów, poświęcić się będą musieli przedewszystkiem zadaniom chwili, zaspokojeniu potrzeb najbardziej piekących. Czeka ich trud uprzątnięcia śladów zniszczenia, przyprowadzenia życia znowu do jakiego takiego ładu, położenia podwalin pod budowę przyszłości. Lata upłyną, zanim to się stanie i gdy przyjdzie do samej budowy przyłożyć ręce, już siwizna przyprószy skronie ocalałych uczestników dzisiejszej wojny i wzrok im się przyćmi i ramiona osłabną. Przeto zwrócą się do pokolenia, które wówczas wkroczy na widownię i powiedzą: „Poczęliśmy dzieło, wy go dokonajcie!“ I jeśli owo pokolenie będzie krzepkie na duszy i ciele, to w rozwarte wrota przyszłości wejdzie z niem jasna, pomyślna dola i ze spokojem zamknąć i będziemy mogli oczy. Ale biada nam, jeśliby ci nasi następcy nie dorośli do zadań, jakie ich oczekują! Nam i im biada: nam, ponieważ wyrzutami sumie-

nia ujrzymy się okoleni na łożu śmierci; — im, gdyż ugną się pod klątwą swej bezsilności.

Więc cięższy jeszcze, niż innymi czasy, spada na wszystkich nas obowiązek, uratowania życia i zdrowia fizycznego i moralnego naszej dziatwy.

Jaką dziatwą mamy się zaopiekować? Są szczęśliwe dzieci, którym Bóg zachował rodziców; są szczęśliwe matki, ojcowie, którzy własnemi skrzydłami mogą osłaniać swe pisklęta.

Ale gdy spojrzymy dokoła, widzimy, ile to po świecie uwija się ludzkiego drobiazgu, skazanego na gorżkie łzy sieroctwa. Okrutna wojna zabrała tym dzieciom ojców, a ich matki uległy zaraźliwym chorobom. I pozostało bez żadnego zaopatrzenia takie biedactwo, ze wszystkich istot najnieszczęśliwsze, bo już w dziecięctwie zmuszone dławić się gorżkim chlebem niedoli.

Godziż się obojętnie odwracać od nich oczy i zamykać uszy na ich wołanie? Wsłuchajmy się tylko dobrze w głos skargi sierocej. Wszak to przez usta biednej sierotki, woła Dziecię Boże zrodzone również w ubóstwie i od najpierwszych dni Swego żywota na niedostatek skazane. To Jezus puka do drzwi naszych i niechaj one nie pozostaną zamknięte przed sierotą Bożą! Przygarnijmy ją do siebie, przytulmy do piersi, jakby to była nasza własna dziecina; zastąpmy sierocie rodziców.

Zrozumieli to między innymi i bardzo pięknie postąpili włościanie zachodniej Galicyi. Przynosi prawdziwy zaszczyt ich uczuciom chrześcijańskim, a także ich obywatelskiemu sumieniu, iż skoro tylko pojawiła się odezwa w sprawie sierót, zgłosiło się nierównie więcej rodzin z gotowością przyjęcia osierociałych dzieci pod dach swój, aniżeli było ich do rozdania.

Ale ktokolwiek zaopiekować się chce sierotą, musi pamiętać, że choć dobrowolny przyjmuje na siebie obowiązek, wytrwać w nim musi i spełnić z największą sumiennością. Ponieważ zaś w wielu wypadkach na wychowanie sierot przeznaczone są pewne zasiłki, niechże Pan Bóg zachowa, by ktoś chciwością wiedziony, podejmował się opieki na sierotą dla zysku. Bo zysk taki, byłby pokrzywdzeniem sieroty, byłby więc grzechem ohydnym. Takiego grzechu nie przepuściłby bezkarnie Pan Bóg, ten pierwszy i najmożniejszy sierót Opiekun. Prędzej czy później upomniałby się On o krzywdę, wyrządzoną Jego sierocie! Zrozumiałą z drugiej strony rzeczą, że zwłaszcza ludziom sumiennym niełatwo przyjdzie ofiarować sierocie przytułek w domu. Pomyśli ktoś bowiem: „Uczyniwszy to, nie miałbym później serca, zrzucić się z przyjętego obowiązku. A tu czasy tak ciężkie! Bieda doskwiera okrutnie. Żywności brak. Z przyodzieniem krucho; byle łaszek idzie dziś na wagę złota. Człowiekowi aż schnie głowa z kłopotów i bierz tu jeszcze sierotę! Skąd ja mogę być pewny, że podołam?“

Otóż dziwić się, tem mniej zaś za złe brać trudno, jeśli kogoś opadną takie wątpliwości. A jednak tylko małoduszni nie potrafią dać sobie z niemi rady. Człowiek prawdziwie zacnego serca, szczerze religijny będzie wiedział, jak wybrnąć z tych zawiłości. Westchnie do Pana Boga i wezwie Go w pomoc, ufny, że ten Władca losów nie opuści nikogo w zacnem przedsięwzięciu. To przecie tensam Bóg Miłosierny, który ongi nad jeziorem Tyberyadzkiem tysiączne rzesze nakarmił pięcią chlebów!

A więc nie bez namysłu, owszem z rozwagą, po obrachowaniu, jak stosunki trzeba będzie ułożyć, ale bez małodusznego lęku i ochotnie winien każdy, kogo stać na to, ofiarować sierocie schron u siebie, pomnąc słowa Zbawiciela: „Kto jedno z dziateczek tych przyjmie w imię moje, Mnie przyjmuje!“ (Św. Marek 9, 36).

Ale i tu jeszcze nie koniec chrześcijańskiego obowiązku w tym wypadku. Oto zdarzyć się może, iż takie dziecię cudze, zamiast okazać się godnem ofiarowanej mu łaski, odsłoni złe skłonności, okaże się dzieckiem zepsutem, krnąbrnem, przewrotnem. Cóż w takim wypadku winni począć ci, którzy postanowili zastąpić owej sierocie miejsce rodziców? Czy mają odwrócić się od złego dziecka, wypchnąć je z domu swego? Czy z surowością bezwzględną, na jaką nie zdobyliby się wobec własnego dziecka, mają sierotę obsypywać karami, niejako mszcząc się za doznany zawód?

Przenigdy! Tak nie postąpią ci, u których Chrystus mieszka w sercu, a nie na samych tylko ustach. Dla takiego dziecka powinno się żywić tem więcej współczucia. Jest ono jeszcze nieszczęśliwsze, niż inne sieroty. Tamte łatwiej litość obudzić potrafią i mniej też zagrożona jest ich przyszłość, aniżeli przyszłość dzieci, już tak wcześnie skażonych skłonnością do złego. Byłoby rzeczą bardzo smutną, gdyby dobrowolni opiekuni odwrócić się mieli od sieroty, nabrawszy przekonania, iż to złe dziecko. Owszem, jeśli chrześcijańska miłość bliźniego przeniknęła ich nawskróś, radować się będą, że w tem wyższym ukazać ją mogą stopniu. Radować się będą, że Opatrzność tem rozleglejsze oddaje im pole do pracy, a więc tem większą sposobność do zdobycia sobie zasług. Przykre doświadczenie obróci się wtedy w słodycz, a każdy objaw poprawy u dziecka miłą będzie podjętych trudów nagrodą. Wypadnie wprawdzie poczynać pracę wychowawczą na nowo, od samego początku i przeprowadzać ją roztropnie, wytrwale, niczem się nie zrażając — ale bezowocnym ten trud nie będzie. Wszak-ci serce dziecka, niby wosk miękie i jaki, wsparty łaską Bożą, kształt mu nadasz, taki przybierze.

Niechże więc rzesze sierot, które namnożyła wojna, znajdą opiekę, iżby kiedyś Bogu i Ojczyźnie mogły spłacić dlug zaciągnięty u dobrych ludzi. Niech przymierają z głodu i niechaj nie rozsypią się po manowcach, kędy wszystko złe czyha na nie.

Rzeczą jest zarówno ludzi świeckich, jak kapłanów, jąć się tego dzieła zbożnego, wspierać się nawzajem, ramię w ramię, w zwartym szeregu stanąć do walki z niedolą maluczkich. Wszystkie czynniki rządowe i prywatne, powołane są do współdziałania w tym wielkim czynie miłosierdzia. Wielki on istotnie, gdyż w ogromnych rozmiarach i w najpiękniejszem wcieleniu zasad Chrystusa ma dać świadectwo Jego przebywaniu pomiędzy nami; wielki on również, albowiem zarzuca pomost między chwilą dzisiejszą a przyszłością, dla której gromadzić nam trzeba sił jak najwięcej.

* * *

Nietylko ratunek dziecka nieszczęśliwego, zagrożonego w swem istnieniu, nabrał szczególnej wagi wobec stosunków, jakie przeżywać nam każe wojna. Baczniejszą także, niż zazwyczaj opieką, otoczyć należy duszę dziecka wogóle.

Pod wielu względami wojna jest złą mistrzynią. Nietylko przynosi z sobą nieopisane męczarnie, lecz szerzy także znieprawienie. Życie wyparte zostało z umiarkowanego koryta, jakiem toczyły się jego fale. Zawisła groza nad światem i zwaliła się na dusze, jak zmora straszna. Wielu pod wpływem przeżywanych okropieństw szuka otuchy w wierze. Szczęśliwi, którzy zwrócą się do niej, albowiem nie doznają zawodu. Doświadczenie wszakże poucza z drugiej strony, iż każda wojna sprowadza dusze słabe, nieodporne w stan przerażenia, graniczący niemal z obłędem. Wytwarza się jakby duchowa zaraza rozpaczy. Ludzie mówią sobie: „Czy ja wiem, co jutro będzie, czy ja to jutro przeżyję?“ To są właśnie owi ludzie słabego serca, a słabego z tej przyczyny, ponieważ nie pracowali nad tem, by religia ukrzepiła je dostatecznie. Dręczeni więc niepewnością, jakby nie wiedzieli, że nikomu włos nie może spaść z głowy bez woli Boga, nieszczęśliwi ci nie szukają leku przeciw swej udręce w wierze świętej, lecz starają się oszołomieniem odpędzić od siebie okropne widma. „Jeśli jutro zginąć mogę — albo też: jeśli każdej chwili może mnie spotkać najstraszniejsze nieszczęście, to niechże przynajmniej dziś jeszcze jak najwięcej użyję na świecie“. I z zamkniętemi oczyma rzucają się w odmęt najbrudniejszych rozkoszy, depcząc wszelkie względy, jakie krępowały ich dotąd.

Różne inne zresztą ohydne instynkty wywołuje wojna z ukrycia. Widzieliśmy i widujemy je nadal, odkąd słabe sumienia zamilkły, stłumione hukiem armat, szczękiem broni, piekielną wrzawą walki. Rozpasała się chciwość ludzka, rozpuściła swe zagony grabież, nie brak — niestety — nawet frymarki cudzą czcią, cudzym spokojem, cudzem bezpieczeństwem.

Ze wszystkich zaułków wylegly potworne żądze i niskie instynkty, które w czasach pokoju trzymała na wodzy żelazna ręka prawa.

Patrzy na to dziecko, słucha tego dziecko. Duszy jego brak sił jeszcze, by mogła sama utrzymać się w równowadze, a jak gąbka wilgoć, tak serce dziecka chłonie wrażenia, wyobraźnia zaś jeszcze nie ujęta w karby rozsądkiem, rozrabia je i jeszcze potęguje.

Tedy niech staną rodzice i wszyscy na straży tych niewinnych istotek, zagrożonych tak często zbłądzeniem i wypaczeniem, trudnem już później do usunięcia. Niechaj przynajmniej w domu nie widzi dziecko żadnych zdrożności, niech czyny, słowa ojca, matki nie oswajają je ze złem, owszem, niech budzą wstręt do wszystkiego, co nikczemne, samolubne, ohydne.

Tasama zaś wojna, w tylu wypadkach uwodząca do zbrodni, może też rodzicom przyjść z pomocą. O ile bowiem jest we wielu kierunkach złą wychowawczynią, o tyle znowuż pod innymi względami okazuje się wychowawczynią dobrą.

Więc przedewszystkiem rozbudza ona i ożywia uczucie litości. Trzeba kamiennego iście serca, by nie wzruszyło się widokiem tylu nieszczęść, jakie niesie ze sobą pożoga wojenna. Ma więc i dziecko więcej po temu sposobności, niż w spokojnych czasach, by uświadomiło się w niem pojęcie niedoli bezmiernej i wydało tak miły Bogu kwiat współczucia. A z kwiatu tego dojrzewa jako owoc przepiękny i posilniejszy od innych: miłosierdzie. Nie jest jeszcze tak źle na świecie, by wszędzie górowało ponad wszystkiem sobkostwo; owszem dobroczynność, właśnie podczas wojny, wzmocnionem bije tętnem i jak krew żyłami obiega z posiłkiem cały organizm, tak miłosierdzie wszędzie wnika w społeczeństwo, wszędzie stara się nieść pomoc i pocieszenie.

Zmusza nas dalej wojna do ograniczenia swych potrzeb. Przekonywamy się, przyuczeni koniecznością, że i na skąpszym, niż dotąd posiłku, poprzestać można i nie stroić się, a mimo tego przyzwoicie być odzianym i odmówić sobie niejednej przyjemności, którą przedtem uważało się niemal za niezbędną do życia; słowem, ścieśniać się w swych potrzebach, a przecie żyć bez żadnej stąd dla siebie ujmy na honorze i zdrowiu.

To wszystko widzi dziecko, to wszystko słucha dziecko — i są to rzeczy tak zrozumiałe, iż najczęściej odnosi ono bezpośredni stąd dla siebie pożytek: zaprawia się w litości i miłosierdziu, uczy się poprzestawać na małem.

Troskliwi o duszny pożytek dziecka rodzice i wychowawcy będą wiedzieli, co wobec tego czynić: dołożą wszelkich starań, by dziecię

uchronić od złych wpływów wojny, a natomiast ułatwiać dostęp szlachetnym jej pobudzeniom. W naturze wieku dziecięcego znajdą niejednokrotnie dzielnego sprzymierzeńca. Zwłaszcza cnota miłosierdzia wypłynie z uczuć, które właśnie znamionują szlachetny w swej prostocie ustrój duszy dziecięcej.

„Kiedy byłem małym chłopcem — opowiada pewien kapłan — rodzice zachęcili mię raz, ażebym wyrzekł się podarków gwiazdkowych, a pieniądze zaoszczędzone przeznaczył na zakupno bucików i sukienek dla sierót z sąsiedztwa. Zgodziłem się chętnie. To były najpiękniejsze, najweselsze święta w całem mojem życiu! I drobne to pozornie zdarzenie wywarło rozstrzygający wpływ na kierunek myślenia i cały dalszy tok mego życia“.

Tak nieraz jednem dobrem słowem wypowiedzianem w sposobnej chwili, mogą rodzice pchnąć losy swego dziecka na drogę, na której czeka je prawdziwe szczęście, jakiem jest możność oddania wszystkich swych sił szerzeniu chwały Bożej i przysparzaniu pożytku ludzkości. O tem powinni rodzice pamiętać tak samo, jak i o tem, że na odwrót, czasem jedno słowo niegodziwe może paść ziarnem kąkolu na glebę serca dziecinnego i tak się na niej rozkrzewić, że już niełatwo da się usunąć.

Wskazania te odnoszą się w równej mierze do wszystkich opiekunów i wychowawców. Biada tym, którzy je zlekceważą; duszą swoją przed Bogiem odpowiedzą za duszę zwierzonej im a moralnie z ich winy zepsowanej dziatwy.

Błogosławieni zaś, którzy wedle nich młode dusze wprawują ku sprawiedliwości. Imiona ich pozostaną we wdzięcznej pamięci współziomków. Więcej! Świecić one będą na nieboskłonie ojczyzny niebieskiej, jako gwiazdy na wieki wieczne. (Daniel 12, 3).

X. Arcyb. Bilczewski.

Pod drzewem poświęconem Maryi Pannie.

Rękodzielnik wiejski Rupert był wprawdzie nader biegłym w swym rzemiośle — ale przytem melancholicznego, zgryźliwego usposobienia. Unikał ludzi, lubo był od nich bardzo poszukiwany dla swych zdolności; a co gorsza, unikał kościoła, modlitwy. Jeśli go zachęcała Regina, jego pobożna małżonka, do lepszego wykonywania swych obowiązków religijnych, choćby tylko dla usunięcia zgorszenia, jakie daje 10-letniemu synowi Adamowi, odprawiał ją rozgniewany temi słowy:

— Nigdy nie występuję przeciw Bogu, Kościołowi lub księżom; nikogo nie ganię, jestem nie mniej trzeźwym, oszczędnym i pilnym, jak wielu z tych, co do kościoła uczęszczają.

Pewnego dnia Rupert przerwać musiał zamówioną robotę, zawezwany nagle do domu. Bardzo się przestraszył, gdy zobaczył swego syna jedynaka leżącego w łóżku. Z płaczem opowiadała mu Regina, że Adama znaleziono lężącego we krwi w lesie pod drzewem bukowem, na którem wisiał obraz N. Maryi P., skąd przez tamtejszych mieszkańców przyniesionym został.

— Pod drzewem Maryi — powtarzał Rupert przerażony, a bladość śmiertelna pokryła oblicze jego.

— Nie gniewaj się, ojczulku — rzekł słabym głosem Adam — mama posłała mię na wieś L.; kiedym przez las powracał, poczęli mnie gonić: Henryk i Aleksander. Obydwaj chłopcy starsi odemnie i mocniejsi, byli na mnie zagniewani. Przelękniony, uciekałem, jak mogłem najprędzej, a potknąwszy się o wystający korzeń buka, na którym wisi obraz N. Maryi P., upadłem.

— Pod bukiem Maryi — powtórzył znowu ojciec, a dziwny dreszcz wstrząsnął całą jego postawą.

Nadszedł lekarz, a zbadawszy chłopca, oświadczył, że ani rany nie są niebezpieczne, ani choroba długo trwać nie będzie i przepisał potrzebne lekarstwa. Kiedy doktór odszedł, skinął ręką na swoją żonę Rupert, a schroniwszy się do przyległego pokoju, rzekł gwałtownie wzruszony:

— Z dalekich stron przybyłaś do naszej wioski; czy znane ci zdarzenie, które przed wielu laty przy tym właśnie buku miało miejsce?

— Tak jest — odpowiedziała Regina — głęboko wrośnięty w to drzewo znajduje się tam obraz Najświętszej Panny z Boskiem Dzieciątkiem Jezus. Ten obraz miał być uszkodzony kamieniem, a nawet nożem przebity przez jakiegoś zbrodniarza.

— Tym zbrodniarzem, który ten czyn świętokradzką ręką wykonał, byłem ja! — zawołał Rupert rozpaczliwym głosem — byłem natenczas młodym, zuchwałym chłopakiem. Ziemska sprawiedliwość nie dosięgła mnie; ale tem boleśniej dotknęła mnie ręka Boska. Lat dwadzieścia cierpię ciągle najstraszniejsze wyrzuty sumienia. Okoł tego buka przejść nie mogę. Unikam kościołów i wszelkiego nabożeństwa. Obrazy święte i mowa pobożna rażą me oczy i uszy; myśl sama o spowiedzi i Komunii św. jest sztyletem dla mego chorego serca. Teraz zabija Marya dziecię moje, bom w świętokradzkim zamiarze Ją i Jej Dziecię znieważył. Do takiej to przepaści doprowadza czytanie złych gazet i życie rozpustne i niemoralne!...

— Najświętsza Królowa Niebios nie odmawia żadnemu skruszonemu grzesznikowi swego wstawienia się u miłosiernego Boga — odpowiedziała Regina, chcąc męża nieco pocieszyć.

— Dla mnie niema miłosierdzia, bo ja nie umiem się modlić — jęknął w rozpaczy Rupert.

Tymczasem stan chorego dziecka pogorszył się znacznie. Ojciec pobiegł do doktora. Wró-

ciwszy do domu, zastał syna w gwałtownej gorączce, a matkę modlącą się u stóp dziecka.

— Adaś — rzekła Regina zapłakana — zgubiony, jeśli Bóg cudownym sposobem nie pomoże.

— Jeśli Bóg nie pomoże — powtórzył Rupert rozrzewniony, przyczem uścisnął rękę małżonki — pójdę do lasu i błagać będę pod drzewem Maryi, Najświętszą Matkę i Jej Boskie Dzieciątko, które tak ciężko obraziłem, o przebaczenie.

— Rupercie, co robisz? Ciemna noc wokoło— zawołała Regina.

Nic nie pomogły namowy. Szybko jak strzała pobiegł do lasu, padł na kolana przed drzewem, poświęconem Maryi; łzy trysnęły mu strumieniem. Bijąc się z serdeczną skruchą w piersi, po raz pierwszy otworzył swe usta do modlitwy: „O Najsłodszy Zbawicielu mój, przebacz mi te zniewagi, które w tym obrazie, Tobie i Matce Twej Najświętszej wyrządziłem, oraz wszystkie inne grzechy, jakich się dopuściłem przez moje życie niemoralne, bez wiary. Ślubuję Ci, że odtąd zmienię postępowanie swoje, zostanę gorliwym katolikiem. O Maryo! uproś mi miłosierdzie u Syna Twego, uproś łaski potrzebne, ale zarazem wybłagaj zdrowie dla mego syna“. Dziwnie wzmocniony na duchu, podniósł się Rupert po dłuższym czasie z ziemi i powrócił do domu.

— Najświętsza Królowa Niebios żadnemu grzesznikowi nie odmawia swej pomocy, jeśli tylko z żalem i ufnością do Niej się ucieka — rzekł do swej małżonki, przekraczając progi domowe. — Marya uleczyła już biedne serce moje; jeśli jeszcze przywróci zdrowie memu synowi, cześć i chwała Jej na wieki. Lecz jeśli Bogu i Maryi podoba się zabrać to dziecię ze świata za moje grzechy, Pan dał, Pan wziął, niech będzie Imię Pańskie błogosławione!

— Amen! — dodała Regina, zwracając swe łzami zwilżone oczy ku niebu.

Po kilku dniach strasznego zmagania się ze śmiercią młodocianego życia, małego Adasia owionął sen spokojny i głęboki. Skoro nadszedł lekarz, oświadczył, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, a dziecko wkrótce do zdrowia powróci — co też się rzeczywiście ziściło.

Jakież było zdumienie wszystkich mieszkańców wioski, kiedy następnej niedzieli Rupert przyjmował w parafialnym kościele z serdecznem nabożeństwem Najświętszy Sakrament, kiedy odtąd punktualnie uczęszczał na nabożeństwa; nietylko w niedzielę i święta, ale i w dni robocze słuchał Mszy świętej, gdy tylko czas mu na to pozwalał; każdego miesiąca do Stołu Pańskiego przystępował — a cały zmieniony, pełen miłości bliźniego, wszystkim jak najpiękniejszym przyświecał przykładem. Jakże się dziwili sąsiedzi, widząc go tak często w lesie modlącego się pod drzewem Maryi. Kiedy go pytali o przyczynę tak nadzwyczajnej zmiany, odpowiadał uprzejmie: „Boskie Dzieciątko i Matka Jego Niepokalana zachowała mego syna od śmierci doczesnej, a duszę moją od zguby wiecznej. Czyż to nie wystarczająca przyczyna do wdzięczności dozgonnej?“

Obchód 10-cio letniej rocznicy istnienia „Związku Piusa“.

Dnia 12. marca bm. obchodził 10-letnią rocznicę swego istnienia wiedeński „Związek Piusa“, czyli „Towarzystwo popierania prasy katolickiej“.

Nie było to zebranie próżne, o pusto brzmiących słowach, pełnych wzajemnych przechwalań! Nie! Był to raczej przegląd szeregów bojowych, jakie stanęły do walki ze złą prasą, i ściły zarazem obrachunek tego, co się za łaską Bożą zrobiło w ciągu tych lat dziesięciu. Wykazała się przytem jawnie jednomyślność i gorliwość członków, bo wielka hala muzyczna tak była przepełniona, że i miejsca stojące i najwyższe galerye szczelnie były zajęte.

Zebranie to uświetniła swoją obecnością Arcyksiężna Maria Walerya, która przybyła w towarzystwie hrabiny Bombelles, Książe Kardynał dr Piffl, protektor Związku, arystokracya i mieszczaństwo licznie było reprezentowane, jak i ludzie nauki i pracy, oraz panie należące do rozmaitych stowarzyszeń. „Związek Piusa“ urósł zatem w liczbę, znaczenie, i głębokie przeświadczenie o konieczności jego istnienia. I prawdziwie śmiało można powiedzieć, że poza tym związkiem stoi cała katolicka Austrya, a z halerzy ubogich urosły miliony, które stworzyły najsilniejsze organa prasowe: Na czele ich stoi „Reichspost“, tak pomyślnie się rozwijający. Na mownicy wystąpił O. Kolb T. J., ten duchowny założyciel organizacyi prasowej i jak zawsze z niezbitą logiką przedłożył swe myśli i zdania.

Każde jego słowo zdolne było przymnażać nowych rycerzy Związkowi, ci zaś, którzy przed laty 10-ciu pierwsi stanęli do boju, stawili się wiernie i dzisiaj. Jedność w działaniu i gorliwość w przeprowadzaniu prasowej walki pozostała ta sama.

Jego Ekscellencya hr. Watterskirchner prezydent Związku otworzył zebranie powitaniem przedewszystkiem Arcyks. Waleryi, Księcia Kardynała i przedstawicieli katolickich stowarzyszeń, i tak mówił następnie: „W myśli mi staje nasze pierwsze zebranie z przed laty 10-ciu przy współudziale nieodżałowanego dra Luegera. Pełni zapału i dobrej woli stanęliśmy wówczas do boju prasowego! A chociaż nie było nam danem takie odnieść zwycięstwa, abyśmy mogli zawołać: „Veni—vidi—vici“ — to jednak nie ulękliśmy się ani na chwilę twardego

boju, jaki stanął przed nami... nie do nas należy o skutkach jego tu mówić; niechaj inni osądzą, czyśmy odnieśli choćby małe korzyści. w tej krwawej walce z poczwarą o siedmiu głowach jak się wyraził O. Kolb. Podwójny nakład gazet prowincyonalnych, różnica objętości i treści „Reichspost“ od r. 1906 do r. 1916, niechaj świadczą za nami żeśmy próżno nie stali w szeregach.

W przyszłości, gdy tylko pokój nastanie, czeka nas jeszcze zawzięta walka. Teraz, że się tak wyrażę, walczymy w rowach strzeleckich i prowadzimy walkę pozycyjną, która wydatną być nie może, ale daj nam Boże zakosztować pokoju, a wnet zaczniemy ofenzywę otwartą! Staniemy w obronie religii, Papieża, chrześcijańskiej rodziny i chrześcijańskich obyczajów. Pomyślmy, że o te wszystke postulata bracia nasi biją się w polu od rana do wieczora. Jeden z landwerzystów pisze do „Reichspost“ z powodu polemiki jaką ten organ prowadzi z pewną tygodniówką: „My walczymy w polu za Cesarza, ojczyznę i rodziny nasze, broniąc ich przed nieprzyjacielem zewnętrznym, wy zwalczać musicie nieprzyjaciela wewnętrznego“. Tak, dopełnimy tego wiernie mimo trudu i ofiar! Na zakończenie niech mi wolno będzie przytoczyć słowa jednego z braci zakonnych Ojca Kolba: „Blizny naszych rannych i groby naszych poległych nieprzestannie nawołują nas do świętej wojny“. Prawda, że jeszcze setki tysięcy nie połączyły się z nami, ale nie upadajmy na duchu. Naszym obowiązkiem jest ratować, co się da ratować; walczymy z niezachwianą otuchą, bo stoi po naszej stonie prawda i świętość sprawy, i do nas powiedział kiedyś Zbawiciel: „Ufajcie, Jam zwyciężył świat“.

Po mowie tej, którą ciągle oklaskami przerywano, prezydent pozdrowił deputacyę z Gorycyi, katolickich studentów, których wojna tak niestety uszczupliła i Związku śpiewaków, przybyłych na zebranie mimo, że przeszło 100 członków poszło na pole walki. W końcu odczytał telegram otrzymany od kard. Gasparri, z błogosławieństwem Ojca św. Brzmiał on jak następuje: „Z powodu 10-letniej rocznicy założenia Związku Piusa Ojciec św. przesyła zebranym uczestnikom zjazdu apostolskie błogosławieństwo, życząc, aby opatrznościowy ten Związek jak najbardziej się rozszerzał“. Przemówił następnie O. Kolb, słuchany jak zawsze z wielkim applauzem.

Na honorowych członków Związku przyjęci zostali po raz pierwszy: O. Kolb założyciel i Apostoł Związku, znany agitator Związku O. Dominik Dittrich, i wielki dobrodziej Związku hr. Günter Stolberg.

Królowa żołnierstwa polskiego.

Każdy naród na świecie ma swoją pieśń wojenną. Śpiewa ją wojsko gdy na wojnę rusza, lub do bitwy się szykuje. Wszystkie te pieśni wypowiadają męstwo walczących i nadzieję zwycięstwa i zazwyczaj tchną nienawiścią do wroga.

Żołnierstwo polskie miało też swoją pieśń wojenną. Była nią pieśń „Bogarodzica, Dziewica“, przypisywana św. Wojciechowi. Od najdawniejszych czasów śpiewało ją zawsze rycerstwo polskie, ilekroć tylko zmierzyć się mu przychodziło z nieprzyjacielem. Gdy wódz uszykował już zbrojne zastępy i zbliżała się chwila ostatniego rozkazu, zdejmowano hełmy i z piersi tysięcy płynąć poczęła ku niebu potężna pieśń:

„Boga Rodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Marya!
U Twego Syna, Hospodyna
Ziści nam spust winom“.

Dziwna pieśń wojenna. Dziwna tem, że nic wojennego w sobie nie zawiera. Niemasz tu ani pysznego samochwalstwa, ani dufności w męstwo, ani zawiści dla wroga, ani nawet prośby o zwycięstwo.

„Ziści nam, spust winam“. Oto wszystko, o co się modli polski żołnierz przed wojenną rozprawą. Za przyczyną Bogarodzicy-Dziewicy doprasza się u Jej „Syna-Hospodyna“ (Pana) „spustu winam“, czyli odpuszczenia win. Nim runie na wroga i nim mu ledz, albo zwycięską wyjść z bitwy przyjdzie, doprasza się polski żołnierz u nieba grzechów odpuszczenia. Z czystem sercem chce stawać do krwawej rozprawy.

I słusznie. Wszak całe dzieje Polski w jednem się dziele treszczą, w obronie chrześcijańskiej wiary i narodowej wolności. W ciągu całych dziejów Polski niema ani jednej wojny zaborczej. Polska nie wyciągła nigdy zbrojnej ręki po żadną zdobycz. Stąd też chlubić się może przed całym światem, że wszystkie jej wojenne dzieła były zawsze oparte na najoczywistszej sprawiedliwości.

Ta też sprawiedliwość polskiego państwa wypowiadała się w owym obyczaju rycerstwa, które przed walną rozprawą z wrogiem usprawiedliwienia serca u Nieba się dopraszało i Bogarodzicę Maryę swą Patronką sobie obrało. W sprawie Bogarodzicy Maryi i w sprawie swojej dopatrywało się polskie rycerstwo wspólnoty posłannictwa.

Jak bowiem Najśw. Marya Panna wypiastowała Jezusa, chroniąc Go przed prześladowaniem wrogów — tak i polskie rycerstwo Jezusa broniło przed pogańskim Wschodem i przeniewierczym Zachodem. Stąd Matka Boża Patronką mu była; Jej obraz, malowany na blasze, „ryngrafem“ zwany, nosił polski

rycerz na piersi: na pasie zwisał mu obok broni św. różaniec, a miecz i kopia zdobne były w wizerunki Tej, co mu Królową była. Do Niej też zastosował polski żołnierz swoją pieśń bojową, a za okrzyk wojenny, gdy na wroga się rzucał, obrał sobie hasło: „Jezus, Marya!“

Tak zawsze i wszędzie w polskiem rzemiośle rycerskiem przebija się nadzwyczajna cześć dla Najśw. Panny która polskiemu żołnierzowi przez długie, długie wieki króluje. To też o tem królowaniu Maryi cuda się w naszych dziejach czyta. Wszystkie najświetniejsze zwycięstwa przypisywało zawsze polskie rycerstwo pomocy Najśw. Maryi Panny. Najwięcej też zwycięskich znaków zawisło w Jej stolicy na Jasnej Górze i najwięcej ich spotkasz wszędy u Jej ołtarzy.

Przyszły czasy, że wiara w narodzie osłabła i cześć Najśw. Maryi Panny w rycerskich obozach przycichła. Ale przycichła też i dzielność polskiego oręża. Polska poszła w niewolę.

Gdy jednak na polski naród przyszły ostatnie chwile i trzeba mu było przyjąć pęta niewoli wroga-grabieżcy, zbudził się w tym narodzie dawny duch rycerski. I stała się rzecz dziwna. Gdy się ów duch z martwoty przebudził znów wyznał wielkim głosem imię swej Królowej.

Dzielni Barszczanie, którzy z bronią w ręku stanęli w obronie poniewieranego honoru narodu, dobyli z pośród rupieci szablic z wizerunkiem Maryi, pierś osłonili Jej ryngrafami, a w nowej wojennej swej pieśni śpiewali:

Matka łaskawa, tuszę, że się sławi.
Dzielnością swoich rąk pobłogosławi,
A że gdy przybraną — Będą miał wygraną
Wiary obrońca.
Boć nie nowina Maryi puklerzem
Zasłaniać Polskę. — Wojować rycerzem
Przybywa w osobie — Sukurs dawać tobie,
Miła ojczyzno.

I dobrze spełnili swoje zadanie konfederaci Barscy. Obronili honor narodu. Legł polski naród w niewoli, ale legł jak na rycerza przystało, przemocą jeno obalony, ale nie zwyciężony. Nie zagasł w nim rycerski duch, który w ostatniej chwili tak silnie imię swej Królowej wyznawał.

* * *

Upłynął wiek. Przyszły czasy oczekiwane. Tysiące polskiego żołnierstwa wyległy w pole. I znów po polskich niwach rozległo się rozgłośnem echem imię Maryi, żołnierską piersią śpiewane. Budzi się polski duch rycerski, a budzi się znowu z Imieniem swej Królowej na ustach. — Oby się jeno na zawsze obudził i o swej Królowej nigdy nie przepomniał.

Nagrodzona jałmużna.

Edward B. miał lat 19 i mieszkał w skromnym pokoiku wraz z matką, która po zbyt ciężkiej i bolesnej chorobie zupełnie bezsilną była. Powoli tylko do sił powracała, bo mała pensyjka zaledwie na najniezbędniejsze potrzeby wystarczała. Syn był wprawdzie subjektem u bogatego kupca, ale i jego pensya nie była zbyt wielką. Codzień wychodząc z domu, żegnał najczulej matkę, której co miesiąc najsumienniej całą swą pensyę wręczał i spieszył do sklepu, mając zaledwie 10 centów w kieszeni, za które miał sobie chleba kupić.

Już w pierwszych dniach, skoro został subjektem, spotykał na drodze starca, który wprawdzie sprzedawał zapałki, ale właściwie prosił o jałmużnę. Oblicze tego starca miało wyraz szlachetny i pański, ale zarazem zdradzało tyle cierpień i niedostatku, że Edward wzruszony litością, chętnie mu trzy centy ofiarował.

Tak było codzień. Między nim a owym starcem zawiązała się poufała zażyłość. Starzec opowiadał mu, że dawniej miał się dobrze, ale że nie miał szczęścia.

— Wstydziłem się — mówił — żebrać i dlatego wyrobiłem sobie pozwolenie sprzedawania zapałek. Mam wprawdzie nieraz pustki w kieszeni i cierpię głód, ale przecież jestem wolny i używam świeżego powietrza.

Wskutek tej jałmużny miał Edward tylko 7 centów; trwało to przez niejaki czas, aż razu pewnego rzekł starzec do niego, że nic nie zarobił i że dlatego nie będzie miał co jeść. Edward dał mu 10 centów, myśląc sobie, że może poczekać, aż wróci do domu.

Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy oczom jego przedstawił się jeszcze boleśniejszy widok. Blada i wychudła kobieta wlokła się powoli, niosąc na rękach dziecko wynędzniałe. I ta biedna kobieta sprzedawała zapałki. Spojrzała na Edwarda wzrokiem błagalnym, który bardziej jak słowa o litość żebrał. Mimowolnie sięgnął Edward do kieszeni, ale ta była próżna. Bolesno mu było, że nadzieja biednej kobiety na niczem spełzła — ale wspomniał, że ma w kieszeni kawałek chleba, który brał ze sobą na drugie śniadanie.

Ten wyjął i dał go owej kobiecie, myśląc sobie, że mu za to obiad będzie daleko lepiej smakował.

Przyszedłszy do sklepu, zaczął Edward B. gorliwie pracować. Po kilku minutach zawezwał go pryncypał do siebie. Edward się bardzo zdziwił, bo jego podrzędne stanowisko sprawiało, że prawie nigdy się z pryncypałem nie stykał.

Zdziwienie jego jeszcze więcej się wzmogło, gdy pan F., który był właśnie przy śniadaniu, kazał mu przy sobie usiąść i najuprzejmiej go zaprosił, aby z nim zechciał zjeść śniadanie.

Natychmiast oświadczył mu pryncypał, że go posuwa na wyższe stanowisko, na którem pensya jego przeszło 1000 fl. będzie wynosiła. Dodał nadto, że i na przyszłość będzie o nim pamiętał, i „mam nadzieję, kończył, że pan w moim sklepie jeszcze wyższe zajmiesz stanowisko“.

Lecz cóż było przyczyną takiej odmiany?

Oto pryncypał kilka razy przypadkiem przypatrywał się rozmowie Edwarda z owym starcem, nie będąc spostrzeżonym.

Gdy Edward poszedł do sklepu, przystąpił pryncypał do owego starca i dając mu jałmużnę, zapytał go o treść rozmowy z Edwardem i tak się zbudował i ucieszył tem, co mu o nim starzec opowiadał, że postanowił jego miłość i miłosierdzie nagrodzić.



Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary świętej.

Na całej kuli ziemskiej mieszka przeszło półtora miliarda, to jest tysiąc 500 milionów ludzi. Przeszło 900 milionów liczy się jeszcze niestety do pogan. Wprawdzie Europa zajmowała się sprawą rozszerzenia wiary św. pomiędzy ludami pogańskimi, ale nie z takim zapałem, jak tego wymagała ta ważna sprawa. Obecne krwawe wojny wpłynęły jeszcze bardziej niekorzystnie na sprawę misyj katolickich.

W naszych pismach poświęca się bardzo mało uwagi tej doniosłej sprawie. Dlatego postanowiliśmy w „Polskim Siewie“ częściej przypominać naszym czytelnikom sprawę misyj katolickich. Dzisiaj na początku podajemy krótką wiadomość o „Stowarzyszeniu rozkrzewiania wiary świętej“.

„Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary św.“ modlitwą i groszem jałmużny utrzymuje wśród pogan więcej niż 42 tysiące misyonarzy i przeszło 500 biskupów, nic nie mówiąc o mnóstwie zakonnic, które pośród 900 milionów pogan same jedne mogą ratować niewiasty i wychowywać dzieci. Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary św. ogarnia swoją opieką wszystkie misye bez różnicy ras — a więc zarówno białych, jak żółtych i czarnych ludzi, lub czerwonoskórych w Europie, Azyi, Afryce, Ameryce, Australii i na rozlicznych wyspach Oceanu. W najdalsze strony kuli ziemskiej wysyła misyonarzy, aby wszystkim ludom dać poznać Pana Boga i Jego przykazania — bo Chrystus Pan za wszystkich umarł na krzyżu, i pragnie, aby wszyscy z Jego odkupienia korzystali.

To też od r. 1822, w którym to Stowarzyszenie zostało założone, wszyscy bez wyjątku Papieże potwierdzali je, najgoręcej polecali i zachęcali do wstępowania w jego szeregi, zarówno Pius VII., jak Leon XII., Pius VIII., Grzegorz XVI., Pius IX., Leon XIII., a wreszcie Pius X., który nie tylko Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary jak najgoręcej polecał wszystkim wiernym, przeróżnych stanów, starym i młodym — obojga płci, także dzieciom, lecz nadto św. Franciszka Ksawerego, patrona Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary, ogłosił patronem misyi na całym świecie.

Do tego pięknego, a tak wzniosłego „apostolstwa“ rozkrzewiania wiary św. między poganami każdy może należeć.

Obowiązki jego bardzo są małe, łaski zaś i odpusty bardzo wielkie.

Jak się do tego zabrać? Rzecz to nader łatwa. Zbierają się kółka liczące po 10 osób; każda z nich odmawia codzień tylko 1 Ojcze nasz i 1 Zdrowaś Marya „o nawrócenie pogan“ (wystarcza nawet modlitwy te z codziennego pacierza ofiarować na tę intencyę) z wezwaniem: „Święty Franciszku Ksawery, módl się za nami“ i daje jałmużny pięć halerzy (5 fenigów, 2 kop.) tygodniowo. Taką „dziesiątką“ zawiaduje „dziesiętnik“ albo „dziesiętniczka“, którzy od członków swego kółka zbierają te „grosze“ i oddają dyecezyalnemu Dyrektorowi Stowarzyszenia, albo swojemu Księdzu Proboszczowi — można także przesłać wprost do Redakcyi Roczników rozkrzewiania wiary (Austrya, Kraków, ulica Kopernika 26). Tamże zapisują lub przynajmniej oznajmiają imiona członków. Przez nich też każda „dziesiątka“ otrzymuje bezpłatnie ilustrowane pismo p. t. „Roczniki rozkrzewiania wiary“, jakie li tylko dla członków wychodzi, a zawiera najciekawsze wiadomości i opowiadania z misyj... Oto cel, urządzenie i obowiązki „Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary św.“.

Ciche to i nader łatwe, a przecież prawdziwe Apostolstwo Chrystusowe, nie jest udziałem samych tylko kapłanów i misyonarzy; jest ono obowiązkiem wszystkich bez wyjątku chrześcijan (tak, jak jest obowiązkiem ratować tonącego, gdy się go może ratować), Pan Jezus je tylko podzielił.

Jednym kazał wszystko opuścić, serce i życie, przybić do Swego krzyża i biedz do pogan z nauką zbawienia i krew nawet za nich przelać; a drugim pozwala zostać w kole rodzinnem i żyć sobie spokojnie, ale zato każe wspomagać tamtych gorącą modlitwą i dostarczać im środków do pracy.

W taki sam przecie sposób odbywa się i między ludźmi podział pracy i kosztów, ilekroć tylko buduje się i walczy. Tutaj jest jedno i drugie.

Istnieje tedy w Kościele św. znakomity wynalazek: aby dużo w łatwy sposób zrobić, a oraz, aby te modlitwy i jałmużny nikomu nie ciążyły: — to „Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary“; a ile za te jego „grosze“ wysyła się misyonarzy i zakonnic, ile dziatek, niewolników i niewolnic wykupi codzień z okropnej niewoli — ile codzień nawróci i zbawi — owszem, ile tylko codziennie dobrych stąd płynie uczynków: tyle razy staje do udziału każdy członek Rozkrzewiania wiary. I któż tego nie zapragnie?

Ojciec święty raz po raz zaleca i prosi, aby się wszyscy garnęli do tego grona prawdziwych miłośników Bożych i chcąc, aby wszyscy bez wyjątku — a nawet dzieci, słudzy, wieśniacy i ludzie najbiedniejsi — mogli tego szczęścia dostąpić, pozwala, aby w razie wielkiego ubóstwa taką tylko dawano jałmużnę, na jaką kogo stać... Nikt się już tedy wymówić nie zdoła.

My nie mamy nawet pojęcia, ile dobrego moglibyśmy robić, gdybyśmy tylko chcieli. Prawdą jest tedy, co napisał X. Arcybiskup Zaleski, który jako Delegat Apostolski zwiedzając Indye wschodnie widział te tłumy pogan, oddające cześć boską kamiennym bałwanom:

„Wyszedłem stamtąd z sercem przepełnionem boleścią... Jakże dobrymi chrześcijanami byliby ci nieszczęśliwi poganie; a jednak tak mało potrzeba, żeby ich nawrócić!... Misyom naszym nie brak ludzi zdolnych, pełnych świętego zapału i poświęcenia dla sprawy Chrystusowej. Bóg wskrzesza ich zawsze... Ale brak im środków materyalnych na zakładanie szkół, szpitali, stacyj misyjnych i kościołów...“ — I dodaje:

„Gdyby każda z pań katolickich zechciała ofiarować bodaj kwiatek — i to jeden tylko — przy każdej zabawie lub stroju balowym; gdyby każdy z szlachetnie myślących młodych ludzi zechciał odmówić sobie małej przyjemności, choćby tylko jeden jedyny raz na miesiąc i t. p.: o, ileż dusz pozyskanoby Bogu!... Doprawdy, nieludzko jest świat nieczuły na niedolę tych biednych braci!“

A oto — współpracując ze „Stowarzyszeniem Rozkrzewiania wiary“ my świadczymy przysługę tym najnieszczęśliwszym poganom.

Święty Aleksy.

Święty Aleksy urodził się w Rzymie przy końcu czwartego stulecia po narodzeniu Chrystusa. Rodzice jego równie cnotliwi jak bogaci czynili obfite jałmużny. Ojciec jego Eufemian, senator rzymski i matka jego Aglaida tem więcej go kochali, że był jedynakiem i posiadał przymioty rozumu i serca, które go nader miłym czyniły.

Dzięki świętym naukom i przykładom swych zacnych rodziców już za młodu zrozumiał, że nie można lepszego użytku z majątku uczynić, jak dzieląc się nim z ubogimi dla miłości Bożej. Jakoż wszystko, co mu tylko dawano, rozdzielał między ubogich, a ta miłość ku cierpiącym członkiem Chrystusa, do tego stopnia spotęgowała miłość jego ku Bogu i do dóbr wiecznych, że postanowił żyć jedynie dla Boga i na wzór Jezusa Chrystusa stać się ubogim i zrzec się wszystkiego, aby wstąpić w Jego ślady.

Posłuszny woli rodziców wstąpił w stan małżeński; ale w sam dzień ślubu, idąc za natchnieniem Ducha św., który w osobie Aleksego chciał nam zostawić wzór dziwnego zaparcia się, postanowił opuścić na zawsze dom rodzicielski.

Wszedłszy tedy do pokoju swej małżonki dał jej pierścionek i pasek zawinięty w szkarłatną materyę i rzekł:

— Moja droga małżonko, zachowaj ten podarunek jako zadatek naszej wierności i gotowości na wszelką wolę Bożą!

Następnie wyszedł niepostrzeżenie z domu i wsiadł na okręt płynący do Laodycei. Ztąd udał się do Edessy w Mezopotanii, gdzie się znajdował obraz Najśw. Panny będący w wielkiem poszanowaniu; tu osiadł i oddał się zupełnie Bogu i czci Najśw. Panny. Rozdawszy cały majątek ubogim, stał się sam ubogim z miłości ku Chrystusowi ubogiemu, żył z jałmużny i mieszkał w ubogiej chatce bliskiej kościoła Najśw. Panny.

Rodzice Aleksego i jego małżonka, niespokojni, zmartwieni, kazali go szukać wszędzie. Po długich poszukiwaniach słudzy zajechali do Edessy. Aleksy ich poznał, ale oni go nie poznali; posty bowiem jego i łzy oszpeciły mu twarz, a ubogie łachmany, jakiemi był odziany, zmieniły go do niepoznania.

Przeżywszy w ten sposób siedmnaście lat, musiał uchodzić z Edessy, aby uniknąć czci, jakiej począł od mieszkańców tego miasta doznawać. Albowiem pewien pobożny kapłan,

modląc się przed obrazem Matki Boskiej, usłyszał głos z obrazu, który rzekł:

— Ten ubogi podróżny, który mieszka koło kościoła w ubogiej chatce, jest bardzo miły Bogu, a Duch św. spoczywa na nim.

To objawienie zwróciło wszystkich oczy na Aleksego: uznano jego pokorę, cierpliwość, gorliwość w modlitwie, miłość ku drugim ubogim, jednem słowem wszystkie cnoty w nim jaśniejące i poczęto go szanować i czcić jako wielkiego sługę Bożego.

To było dostateczną przyczyną dla Aleksego, aby opuścił miasto, w którem nie mógł żyć w ukryciu. Wsiadł zatem na okręt i popłynął napowrót do Laodycei, aby ztamtąd udać się do Afryki, albo do innego dalekiego kraju: ale Opatrzność Boska dozwoliwszy, żeby burza oddaliła okręt od brzegów Afryki, zaprowadziła go do Włoch i aż do Rzymu, który miał się stać widownią nadzwyczajnego i prawie cudownego zaparcia się Aleksego.

Duch św. podał mu myśl, aby prosił o schronienie w domu rodziców, gdzie niepoznany, lecz jako ubogi traktowany, mógł odnieść chwalebniejsze zwycięstwo nad uczuciami ziemskiej miłości ku rodzicom i swojej małżonce.

Było to nadzwyczajne natchnienie Boże. Zmieniwszy się więc nie do poznania, stanął przed ojcem swym Eufemianem błagając go o przytułek w jakim kąciku domu jego.

— Błagam cię — rzekł — sługo Boży, okaż miłosierdzie nad biednym podróżnym, który niema znikąd pomocy. Daj mi panie, jaki ukryty kącik w domu swoim i pozwól mi tam żyć z twoimi sługami i karmić się okruchami spadającemi ze stołu twego. Nie będę ci wcale ciężarem, a Bóg, który nagradza miłosiernych, będzie ci błogosławił; a jeśli kto z twojej rodziny jest nieobecny i w dalekiej podróży, to ci go Bóg powróci żywym i zdrowym.

Na te słowa Eufemian wspomniał sobie na syna swego, o którym sądził, że jest bardzo daleko i tknięty uczuciem litości, wprowadził syna do swego pałacu i dał mu ubogie schronienie w sieni pod schodami i rozkazał jednemu ze swych niewolników starać się dlań o pożywienie. Ojciec, jako prawy chrześcijanin, spełnił tu radę ewangieliczną: „Byłem podróżnym, a przyjęliście mnie“.

Życie naszego Świętego było w tym zakątku domu ojcowskiego podziwienia godne; nic prawie nie jadł, a dwie uncye (4 łuty) wody stanowiły cały jego dzienny napój; dnie i noce prawie spędzał na modlitwie, błagając ze łzami o miłosierdzie Boże; nie wychodził tylko do kościoła i co tydzień przyjmował Komunię świętą.

Jednakże, aby cierpliwość sługi Bożego nie pozostawiala nic do życzenia, dopuścił Pan Bóg, aby doznawał ciągłych zniewag ze strony niewolników, którzy mu nie szczędzili bicia i złorzeczeń. Aleksy znosił to wszystko ze słodyczą niezwyciężoną, mając przed oczyma Jezusa cierpiącego i upokorzonego. Był on męczennikiem ukrytym, a męczennikiem tem zacniejszym, że tylko sam Bóg był świadkiem jego cierpień, a cierpień serca, które ponosił na widok drogiego ojca, ukochanej matki i najmilszej małżonki, których kochał najczulej, a jednak dla miłości tego, który jest pięknością i dobrocią nieskończoną, odmówił sobie najsłodszej serca rozkoszy.

Wreszcie skoro już 17 lat przeżył w tym stanie ciągłego umartwienia i upokorzenia, Bóg chciał uwielbić sługę swego, dał mu poznać, że godzina jego śmierci się zbliża i rozkazał mu, aby spisał swój żywot od czasu ślubu i oddalenia się z domu rodziców. Aleksy uczynił jak mu Pan Bóg rozkazał, i zwinąwszy pergamin, na którym spisał historyę swego życia, oddał ducha Bogu, jeszcze w ręku trzymając dopieroco skończone pismo.

Eufemian dowiedziawszy się, że ów żebrak już umarł, chciał go obaczyć, i w towarzystwie swej żony Aglaidy i synowej udał się do owego zakątka pod schodami. Znalazł go tam leżącego na odrobinie słomy, pełnego niebiańskiej piękności, trzymającego w ręku zwinięty pergamin. Rozwinąwszy pismo, począł czytać i oczom swym nie wierzył, bo oto dowiedział się z tego pisma, że ten ubogi żebrak to jego najmilszy syn Aleksy, który dla miłości Bożej wyrzekł się wszelkiej miłości ziemskiej, znosząc nieustanne katusze serca, na widok najdroższych rodziców i najmiszej małżonki — dodał nadto, że swej małżonce zostawił pamiątkę: pierścień i pasek w szkarłatnem zawiniątku i że się nazywa Aleksy.

Niepodobna wyrazić łez, łkania i uścisków małżonki i rodziców, którzy dopiero wtenczas poznali rysy tego, którego tak opłakiwali. Znaleźli go wprawdzie, lecz niestety nie posiadali, tylko śmiertelne zwłoki jego. Pocieszali się jednak tem, że dusza jego była już w niebie!

Takiego to heroizmu zdolna jest miłość Boża, jeźli sercem człowieka zawładnie.

Znaczenie cudów.

Wielu ludziom dziwnem się wydaje, czemu dziś tak mało cudów się dzieje. Dawno, dawno w czasach biblijnych i pierwszych wiekach chrześcijaństwa tyle cudów się zdarzało, a dziś tak rzadko o nich się słyszy. Jaki taki powie może: „Dawno lada zdarzenie za cud poczytywano, a wiele z tych dziwów, o których się czyta, to zmyślone historye“. Źle sądzi taki. Jużcić prawda, że w dawnych czasach, wiele zjawisk, dziś dla nas zwyczajnych, poczytywano za cuda; ówczesna nauka nie umiała bowiem często wytłumaczyć wielu rzeczy; dopatrywano się więc w nich tajemniczej ręki Bożej i uważano

je za cuda. Działo się to jednak tylko między ludem. Kościół św. z urzędu swego rzeczy niepewnych za cuda nigdy nie ogłaszał. Natomiast wszystkie te zdarzenia, które nam podaje Pismo św. jako cuda — i te, które Kościół św. w ciągu wieków za cuda uznał — są rzeczywiście cudami. Uzdrowienie ślepca, wskrzeszenie Łazarza, lub uzdrowienie chromego przez św. Piotra, cudem zawsze będzie. Żadna nauka inaczej tych zdarzeń nie wytłumaczy.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa działo się cudów rzeczywiście dużo. Później coraz rzadziej się zdarzały. A czemu tak? Odpowiada na to papież Grzegorz Wielki: „Nadprzyrodzone powstanie chrześciajstwa wymagało z początku nadzwyczajnej opieki Boga, aby zakorzenić się mogło w obcym i nieprzyjaznym świecie; delikatną roślinkę ogrodnik bardzo pieczołowicie opatruje; podrosłe i silne już drzewo takiej nadzwyczajnej opieki nie potrzebuje“.

Uczony Möhler mówi to samo: „Gdyby Chrystus cudów nie był czynił, gdyby działaniu apostołów cuda nie były towarzyszyły, nigdyby Ewangelia nie była wyparła rzymsko-greckiego pogaństwa. Błędnowierstwo wżarło się bowiem głęboko w życie ludzkie. Na religii pogańskiej ukształtowało się życie tych ludzi zarówno pod względem społecznym, jak i państwowym. Oni do cna pogaństwem przesiąkli. Nowy porządek rzeczy domagał się więc nadzwyczajnych dowodów. Dla przeświadczenia o prawdziwości nowej wiary, trzeba było cudów. Cud jedynie mógł ówczesnych pogan o chrześcijańskiej prawdzie przekonać i do niej pociągnąć. W miarę jednak, jak Kościół się rozwijał, poczęła się zmniejszać liczba cudów, aż spełniło się zupełnie ich zadanie i inna powaga w ich miejsce wstąpiła“. Konieczność przekonania pogan o prawdzie chrześcijańskiej wiary — domagała się cudu.

Cudu domagała się też konieczność przekonania rzymsko-greckich pogan — o prawdzie chrześcijańskiego obyczaju. Światowość, zmysłowość, służenie namiętnościom, było treścią życia tych narodów; i nie dziw, boć i ich bożkowie, jak sobie opowiadano, najgorszym występkom się oddawali. Każdy przeto Rzymianin, czy Grek był w sumieniu spokojny; religia usprawiedliwiała jego występki; nie uważał ich zresztą za „występki“; w jego pojęciu czyn najohydniejszy uchodził za rzecz dobrą.

Wielkiej zatem trzeba było siły, aby zgasić u tych ludzi ów „urok“ występku. Dokazać tego mogły jedynie cuda. Odnowa bowiem życia na sposób chrześcijański domagała się od tych ludzi wielkiej ofiary; trzeba się było wyrzec rozkoszy i samowoli, a poddać się umartwieniu i przykazaniom. Trudna to jednak sprawa, wszak natura ludzka tak ogromnie lgnie do wszelakiej rozkoszy i samowoli zmysłów! Chrześcijaństwo przezwycięża jednak i tu ludzką naturę. Cuda pokazały człowiekowi, jak przyroda była wyniesioną i użytą do wyższych celów; zrozumiał zatem, że i to, co jemu przyrodzonem było, do wyższych celów użyć trzeba. Tak przez cuda, „zakon ciała“ został przezyciężony, a począł swe panowanie „zakon ducha“. Od chwili tego zwycięstwa pojął człowiek wyższość „zakonu ducha“ i odtąd mniej mu już było trzeba owych cudownych podniet.

Oto powody, dlaczego dawniej działo się więcej cudów. Cud, który jest objawem Wszechmocy Bożej miał być potwierdzeniem głoszonej w Imię Boże prawdy. Skoro więc ta prawda w sercach i sumieniach ludzkich dostatecznie już się utrwaliła, ustała częsta potrzeba cudu.

Nie wynika jednak z tego bynajmniej, by dziś cuda zupełnie się już nie działy. Opatrzność bowiem Boża, której troską jest dobro człowieka w działaniu swojem nigdy nie ustawa.

Jak P. Bóg nawraca szydercę.

U nas na wsi, chwała Bogu, post jest dobrze zachowany, rzadko kto go przestąpi, chyba jaki obieży-świat i o takiem to zdarzeniu chcę wam opowiedzieć.

We wsi W. żył zamożny gospodarz, na imię było mu M... Dobrą miał chatę, chudoby parę sztuk i krów kilka, kilka też morgów gruntu, a do tego doszedł zapobiegliwością. Nie było we wsi roboty, wybierał się z wioski do miasta, czasem nawet za granicę i powracał często ze stówką, a nawet więcej. Dobrze to było, że był pracowity i oszczędny, ale cóż, kiedy tam pomiędzy cudzymi nie było czasem kościoła, a choć był, to dawał się uwieźć ludziom innej wiary i zamiast do kościoła, to w szynku na pogadance schodziła niedziela. A o poście co mówić? Z początku jakoś się miarkował, w piątek i sobotę nie chciał za nic tknąć mięsa, ale przykład źle działa. Towarzysze jego racząc się kiełbasą, dowodzili mu, że to nie grzech, wyśmiewali go, że wierzy w jakieś zabobony, że co do ust wchodzi nie maże człowieka; a trwało to tak długo, aż wreszcie i nasz M... odważył się w piątek na mięso. Najtrudniej zacząć, mówi przysłowie. M... wnet przeszedł innych, nietylko już za granicą nic sobie z postu nie robił, ale nawet wróciwszy do domu, do swoich, kazał żonie świątek czy piątek, warzyć z mięsem. A lubiał się nawet z tem przechwalać przed innymi, wyśmiewać z tych, którzy mu mówili, że to grzech, doszło raz nawet do tego, że wobec kilku gospodarzy powiedział był wprost księdzu proboszczowi, że on tego nie ma za grzech.

Ksiądz proboszcz zauważył już był dawno, że jakoś M... kościół omija; wziął wprawdzie kartkę na spowiedź wielkanocną, ale dojść nie można było czy się spowiadał. Zresztą po całej wsi ludzie gadali: to „farmason, niedowiarek“. Dlatego ksiądz proboszcz nie mógł

takiego zuchwałego odezwania się Wojciecha płazem puścić. Łagodnie, ale z całą stanowczością skarcił jego mowę, wykazał obrazę Pana Boga, przypomniał kary Pana Boga, a wreszcie dodał: „Nie zawsze Pan Bóg karze na tej ziemi, ale i to się zdarza; ja już jestem w latach i w ciągu mego życia widziałem takich, co w piątek bez mięsa obejść się nie chcieli, a na starość zabrakło im łyżki strawy postnej i w niedzielę“.

Od tego czasu upłynął rok jeden i drugi, M... zawsze po dawnemu sobie postępował, ale jakoś zaczęło mu się niepowodzić. Wybuchła choroba w domu i zabrała mu dwoje dzieci, żona zapadła ciężko na zdrowiu, nie wstawała z łóżka, a stąd nieporządek w gospodarstwie, kilka bydląt nawet padło z braku dozoru, na domiar złego z powodu bijatyki na jarmarku (bo już był bardzo zuchwały) dostał się do aresztu, gdzie przesiedział kilka tygodni. No, ale jeszcze miał nieco pieniędzy, to choć i na robotę nie chodził światami i choć wiosenna posucha wypalila zasiew, znalazło się jeszcze i na zapłacenie podatku i na kupno zboża. Te niepowodzenia ukróciły nieco zuchwałość M..., przynajmniej wobec innych nie naigrawał się z tego lub owego przykazania Bożego, co niedziela bywał w kościele i stał się potulniejszym.

Przyszła wojna. Wszystkie zbiory jesienne we wsi do szczętu zostały zniszczone, nędza i głód zawitały do wsi.

Zacny proboszcz okazał się teraz prawdziwym ojcem swoich parafian.

Niejeden późnym jeszcze wieczorem szedł na plebanię i skarżył się pasterzowi swemu na nędzę, a ten pocieszał go i pomagał jak mógł. Że i owemu szydercy M... źle się powodzi, wiedział proboszcz dobrze, bo od owego czasu, kiedy się tak wobec proboszcza wyraził, zwrócił tenże nań baczniejszą uwagę i z trwogą widział, jak jego przepowiednia coraz bardziej się sprawdza.

* * *

U proboszcza jeszcze późno w nocy lampa się paliła. Właśnie odmawiał pacierze kapłańskie i chciał pomodliwszy się, udać się na spoczynek, gdy drzwi się otworzyły i nieśmiało wszedł do pokoju M...

Zuchwała duma znikła zupełnie, rysy twarzy jego zdradzały niedostatek i przygnębienie...

Zdumiały kapłan przerwał modlitwę i podszedł do niego kilka kroków. M... przepraszał bardzo, że tak późno przychodzi i zaczął mówić to o tem, to o owem — bo mu trudno było właściwą przyczynę przybycia swego śmiało wyjawić.

Proboszcz pozwolił mu się wygadać i czekał cierpliwie. Wreszcie odważył się M... wynurzyć swą prośbę.

— Czyby też ksiądz proboszcz nie był łaskaw pożyczyć mi pół miarki żyta?

— Jakto? Pół miarki żyta pożyczyć? — zapytał proboszcz zdziwiony.

Kiedy M... już prośbę swą przedłożył, spadł mu jakby kamień ze serca i już śmielej zaczął o swej nędzy i niedostatku opowiadać. Proboszcz się nie domyślał, że już nędza do tego stopnia doszła.

— Widzi ksiądz proboszcz — zaczął nieszczęśliwy M... — teraz niemam ani kawałka chleba w domu, ani pieniędzy na kupno. Bóg mię ciężko nawiedził. Sto, i tysiąc razy przypominałem sobie słowa księdza proboszcza, które do mnie wyrzekł; oto teraz spełniły się co do joty. Wtenczas myślałem, że mi wolno bezkarnie gwałcić Boskie przykazania; alem doświadczył, że być przemądrym jest bardzo źle, bo człowieka tylko do większego nieszczęścia wtrąca.

Gdy to mówił, łzy obfite lały mu się z oczu.

— Kiedyście uznali swój błąd, kochany M... — odrzekł proboszcz — powiem wam tylko, abyście do pokornej wiary powrócili i w niej aż do końca życia waszego wytrwali. Co się tyczy żyta, to wam pół miarki nie pożyczam, ale daruję.

Tak Bóg ukarał złamanie postu.

Poseł norwegski przy Watykanie.

Dotychczasowy poseł norwegski w Stockholmie p. Brunhorst otrzymał nominacyę na posła przy Stolicy św. Jeżeli się ta wiadomość, z Chrystyanii podana, okaże prawdziwą, Norwegia po raz pierwszy będzie miała swojego reprezentanta przy Watykanie, dając tem nowy dowód, że państwa neutralne i Ojca św. za bezstronnego uważają. Byłoby tylko do życzenia, aby Anglomani norwegscy nie chcieli w nim widzieć przedstawiciela polityki czwórporozumienia i sojusznika Sir Howard'a. Do tej pory hierarchia katolicka nie została jeszcze w Norwegii zaprowadzona. Na czele apostolskiego wikaryatu, jaki tam istnieje od r. 1892, stoi tytularny Biskup Elusy Fallize, który w r. 1913 otrzymał tytuł biskupa Norwegii i Spitzbergu.

Wydawca: Ks. Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Holeksa.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.